CZĄSTKA
NASZEGO SPOŁECZEŃSTWA.

OBRAZKI

WIERSZEM

PRZEZ

IGNACEGO SZARŁOWSKIEGO.

NAKŁADEM AUTORA.

WILNO.
W DRUKARNI A. SYRKINA.

1860.

CZĄSTKA

NASZEGO SPOŁECZEŃSTWA.

CZĄSTKA
NASZEGO SPOŁECZEŃSTWA.

OBRAZKI

WIERSZEM

PRZEZ

IGNACEGO SZARŁOWSKIEGO.

NAKŁADEM AUTORA.

WILNO.
W DRUKARNI A. SYRKINA.

1860.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby egzemplarzy. Wilno 11-go marca 1860 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

PRZEDMOWA.

Czytałem niedawno książkę, któréj autor chwali się w przedmowie: »że na usilną tylko prośbę przyjaciół dziełko swoje drukiem ogłasza;» a ja przeciwnie: bo moi przyjaciele (a tytularnych mamy dosyć) jedni radzili, drudzy odradzali, nawet prosili, ażebym tych wierszy nie ogłaszał publicznie. Jeden z nich oświadczył, że jeżeli one wyjdą z druku, to wszystkie egzemplarze zakupi i spali. Nigdybym nie łożył kosztu na wydanie téj książeczki, ale po takiéj deklaracji drukuję własnym nakładem, i poświęcam na pastwę płomieni. Jest to gotowy projekt do zysku, jak u wielu piśmidlarzy, z tą tylko różnicą, że oni przed napisaniem swéj książki ogłaszają prenumeratę i obliczają korzyść; a ja dopiéro po napisaniu.

Może to ze mnie piérwszy autor na świecie, co wydaje książkę i wyobraża, że jéj nikt czytać nie będzie. Dziwne i smutne to wyobrażenie! Jednak ma swoje dogodności: *np.* jeśliby recenzja ze swéj wysokiéj dostojności raczyła spójrzéć w tę książeczkę, mogłaby odjąć mi chęć do dalszego pisania; a tym sposobem uniknę katastrofy, która jest straszną dla wszystkich początkujących pisarzy.

Lecz jeśli poczciwy kupiec nie dotrzyma słowa, jak się to często zdarza, to koszt mój stracony. Wtenczas tę książeczkę ofiaruję wam, szanowni współobywatele! odkryjcie kilka kartek, a znajdziecie śliczne grono, »*cząstkę naszego społeczeństwa;*» lecz ciebie, panie czytelniku, tu nie ma. Jeśli jesteś posesorem, to nie siebie, ale znajdziesz tu twojego sąsiada, który ci posesję podaukcjonował, na handlu koni oszukał, len i siemię doskonaléj wodą kropi, i we wszystkich spekulacjach podryw tobie robi. Jeżeli, łaskawy czytelniku, jesteś dziedzicem, to, broń Boże, nigdy tu siebie, a tylko zawsze znajdziesz sąsiada, który ci ochmistrzynię odmówił, na granicy karczmę zbudował i wódkę taniéj sprzedaje, na twego żydka donosy robi i o *differencją* proces zaprowadza. Wy zaś, czcigodni sędziowie i sędziny,

chciejcie tu widzieć obrazek waszych sąsiadów i sąsiadek, bo dla was, stosownie do przyrzeczenia, trzymam już pióro w ręku i będę wasze wdzięki, cnoty, talenta, zasługi, i co tylko znajdę, pod niebiosa wynosił. Ty zaś, szlachcicu okoliczny, znajdziesz twój obrazek rzetelny.

Gdy zaś jakim trafem ta książeczka, błąkając się po świecie, wpadnie w szanowne ręce wasze, którzy, opowiadając dzieje ojców naszych, przywiązujecie duszę naszę do rodzinnéj ziemi i podnosicie do Boga, co prostujecie ścieżki nasze na tym padole płaczu, którzy jesteście synami Apollina, kochankami muz, i *posesorami Parnasu*, tedy błagam was, przebaczcie wady i ułomności mojéj książeczki, ulżyjcie chłostę, na którą zasłużyłem, ośmieliwszy się brząknąć na lirze Apollina i umizgnąć się do waszéj kochanki Muzy; która swoją zalotnością i wdziękami, chce mnie zaprowadzić na Parnas, ażeby wam czołem uderzyć. Lecz to napróżno! choć ją uwielbiam, nie zdążę za nią, bo mój Pegaz prosty bronowłoka—więc tam *wysokie progi na nasze nogi*. Ja tylko widząc, że wy na świętéj Litwie naszéj zasiewacie same szlachetne rośliny i kwiaty, a jako rolnik, wiedząc, że na żyznéj litew-

skiéj roli są ciernie, chwasty i pokrzywy, które tamują wzrost roślinom waszym, chciałem tą moją niezgrabną broną cokolwiek tych pasożytów na wierzch wybronować; i gdy to uczyniłem, niechże dopiéro promienie waszéj mądrości te zielska wysuszą, ogień pióra spali, a wietrzyk waszych dowcipów niech i popioły rozdmucha, wtenczas wasze zasiewy przyniosą wszystkim plon złoty.

Posesorowie, ta *cząstka naszego społeczeństwa*, zdaje się, że nie jest w świecie literackim dostatecznie znaną: więc jéj obrazek ośmielam się wydać na widok publiczny. Sądzę tu za rzecz potrzebną upewnić czytelników, że nie miałem na celu nikogo, ani żadnego wydarzenia w szczególności, ale z podchwyconych tam i ówdzie pojedyńczych wzorów i obrazków, kleciłem jedną całość, i starałem się, iżby była jakkolwiek do prawdy podobną.

15 Stycznia 1860 r.
Wandopol.

OBRAZ POSESORÓW

W DRUGIÉJ POŁOWIE XIX WIEKU.

Niech się miota złość na cię i chytrość bezczelna,
Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna.

KRASICKI.

I.

Nad rzeczką Świętą, Wilją, Niewiażą,
(Gdy ci te strony znajome.)
Często twym oczom dworki się pokażą,
Stare, odarte, poziome.

Porozrzucane zagrody, parkany,
Okna nawpół papierowe;
Kląb i dziedziniec bez pługa zorany,
Wszystkie dachy ażurowe.

Ogród był niegdyś piękny i intratny,
Dziś ogrodnikiem— kóz stada;
Może cokolwiek byłby jeszcze płatny,
Lecz kuchnia parkany zjada.

Z wrót przez kałużę kładki porobione,
W altanie indyki siedzą,
Po rowach łozy, zda się, że sadzone,
Jak szpaler nad każdą miedzą.

Na drodze same jamy i wądoły,
Mostki, jakby klawjatura.
Patrzaj! ledwo dzień, podkasawszy poły,
W kożuchu, jakaś figura,

Rusza, gdzie len rwą— nigdy nie próżnuje,
Jest-to posesor tutejszy.
Skącze przez rowy, zwija się i snuje;
Gdzież jest gospodarz zwinniejszy?

Tu cały w ruchu:— tym pochwały daje,
A tam kaliwka podbierze,
Na tych nakrzyczy, tamtego wyłaje,
A tego nawet bić mierzy.

Lnem pole zasiać,— to cel prosesora,
On słomy nie potrzebuje;
Siano wyprzeda, bo szczupła obora,
I dobrze się wykieruje.

Co nadal będzie z folwarku i roli,
Jak się wyręczy intrata?
Niech o tém głowa dziedzicowi boli,
On swoje wymieszkał lata.

Wymieszkał lata, daléj sobie rusza,
I większą dzierżawę bierze;
Worek ma spory; lecz czy czysta dusza?
Czy go zapracował szczerze?

Czy nie był czasem chłopek przyduszony,
Albo czy kupca nie okpił?
Czy len w pundelach nie był przemoczony,
Czy nie zbyt siemię przekropił?

Mądrze kropiłeś i dobrze deptałeś;
Zawsze nie wyrówna probie:
Żyd suche kupił, bo suche sprzedałeś;
Teraz on pejsy poskrobie.

Ile len pundlów, tyle garncy wody;
Miarę czyś wiernie dochował?
I czyś go dobrze podcisnął pod kłody,
Ileś tam żwiru wpakował?

Może Bóg kiedy na téj saméj szali
Len i sumienie położy....
Wyście morałów w kościele słuchali,
A czy to wam co pomoże?

Plewy sprzedając, kostry dosypałeś,
Do siana, piasku troszeczkę;
Chléb choć na formy dla ludzi dawałeś,
A plew sypnąłeś miareczkę.

To bagatele!— to są spekulacje,
To posesorskie obróty!
I z włością łatwo pójdą kalkulacye,
Dał dla niéj mohorycz 1) suty.

Ale i dziedzic zaczyna się pytać,
Czy dobry był odsiew żyta?

1) Borysz.

Kommisarz lubił rękawiczne 2) chwytać,
On i z żytem zrobi kwita.

Niektórzy mówią: «Niezłym był sąsiadem,
»Często monety użyczył,
»Często sąsiadów uraczył obiadem,
»Choć za to w hadlu oćwiczył.«

Mówią: «Miał rozum, gospodarzył chwacko,
»Umiał fortunę zgromadzić;
»W każdém zdarzeniu wywinął się gracko
»I umiał sobie doradzić.«

To dziecko szczęścia, do handlu stworzone,
On od *A* do *Z* handluje;
Jego koniki z różnych farb złożone,
Bo on je często szachruje.

---

2) Znany jest na Litwie zwyczaj, że przy sprzedaży majątku, żona lub dzieci sprzedawcy biorą od kupującego datek, który się nazywa porękawicznėm. Dziś ten zwyczaj tak upowszechniony, że kommisarze, zarządzający majątkami, przy wydzierżawianiu folwarków, młynów, lub karczem, korzystają mniéj lub więcéj z okoliczności, i od dzierżawców wymagają podobnego datku, a skracając ten wyraz nazywają rękawicznėm.

Nawet swe imię w handel ryzykował:
Naprzód kilka liter zmienił;
Że owo lepsze, ktoś podperswadował—
Więc swe zupełnie przeplemił.

Grzbiet w dni świąteczni nie skórką barana,
Ale szopami okrywa;
Miasto luleczki—*cygar* Hannemana,
Zegarek— zamiast krzesiwa.

Dawniéj, gdzie *ch*, lubił *k* wymawiać,
I chodził w kusym kubraku,
Dziś w ortografji zaczął się poprawiać,
Na jarmark jeździ we fraku.

Niechaj że sobie z Panem Bogiem jedzie,
W nowéj posesji dopomoż mu, Boże!
Do widzenia się, kochany sąsiedzie;
Jak co nowego dowiem się dołożę.

Ja w tym obrazie wystawiam jednego,
Ale na ogół spójrz i osądź szczerze,
Czy nie wypadnie cząstka dla każdego?
Niech tylko każdy sumiennie wybierze.

Raz, kółku sąsiadom u mnie zgromadzonym,
Czytałem ten obraz, i rozdział kończyłem;
I właśnie tą razą ja sobie życzyłem
Usłyszeć ich zdania: bo Piotr był uczonym,
I w całéj parafji za mędrca uchodził.
Był tutaj i dziedzic obok z posesorem,
Lecz Pan Piotr dla obu prawdziwie był wzorem,
Na wszystko, co mówił, każdy tu się zgodził.
Ja ledwo skończyłem, aż Piotr się porywa,
Chwyta mnie za papier: «posłuchaj Mosanie!»
Ja czytać przestałem, i całe zebranie
Słuchamy,— a on się w te słowa odzywa:

«Przyozdobiłeś posesora swego,
«Jeszcze chcesz dzielić każdemu po trosze,
«Więc dobrą cząstkę dla siebie samego
«Zostaw, tak radzę, i przytém cię proszę,

»Byś nam objaśnił, zkąd ten obraz wziąłeś?
»Gdzie posesora takiego widziałeś?
»Mości autorze! czy nie zbyt zabrnąłeś,
»I czy nie nadto tylko przeskrobałeś?

»Takich nie widać na litewskiéj ziemi;
»O! znam ja dobrze tę krainę całą.

»Co krok się spotkasz z ludźmi uczciwemi,
»Nieprawych nie ma, albo bardzo mało.

»Że rano wstają, pracują, pilnują,
»Czy to jest grzechem? czy to szkodzi komu?
»Albo że czasem konie pohandlują
«Z gościem, którego uraczą w swym domu.

»Że len posieją— a gdy suchy bywa,
»Że go odkropią, alboż to co złego?..
»Kupiec nie ślepy. Wreszcie, kto cię wzywa,
»Iżbyś to pisał? a co ci do tego?

»Wyliczasz tutaj tyle nieprawości,
»Do plew kostrzycę i piasek do siana!..
»Piérwszy raz słyszę— albo co do włości,
»Jak on ich skrzywdzi? oni mają *Pana.*

»Może gdzie, czasem, kiedy się zdarzyło
»Coś podobnego, lecz nie między nami:
»A waść tu plażysz jak gdyby dziś było,
»Jakoby wszyscy byli szachrajami.

»Ja posesorów tysiąc ci wyliczę,
»Którzy i grunt ów nie podezolują,

»I dla dziedziców swoich dobrze życzą,
»Poczciwie żyją, i roli pilnują.

»A że był biednym, późniéj fundusz zrobił,
»Przez własną pracę, przez krwawe mozoły;
»Kpisz że frak, futro sobie przysposobił—
»Smiej się z hultaja, co miał, a dziś goły.

»Zatém się popraw, szanowny autorze:
»Występki, głupstwa pod swe piórko chwytaj,
«Poczciwych szanuj— i patrz, by w utworze
»Twym nie był paszkwil— No, więc dalej czytaj.«

»Prosimy czytać!« dziedzice wołali.
»A wiész co jeszcze? gdyby wydrukować
»Te wszystkie psoty? niema co żałować,
»Niechajby wszyscy czytali.«

II.

Jeszcze dwór, mało co lepszéj postaci...
Wspomniałem przeszłość — serce mi zabiło;
Było to kiedyś gniazdo szlachty braci,
Dziś właścicieli zmieniło.
Ja to pamiętam, ludzie pamiętają,—
Jak się w tym domu wesoło bawiło,
Jak tu bywało *krupniczek* spijają,
Szczęście wspólném szczęściem było.

Czy w dniu niedzielnym, czy święta jakiego,
Tutaj sąsiedzi zawsze się zjechali;
Czy skarcić kogo, czy wesprzéć biednego,
Tutaj narady miewali.
Gospodarz zawsze mile ich przyjmował,
Zawsze serdecznie dłoń sobie podali.
Gdzie ten dostatek? kto ten dom zrujnował?
Gdzie ludzie, co w nim mieszkali?...

Starzy już w grobie, młodym świat szeroki;
Los zły wycisnął z gniazda ojczystego;
Na wschód i zachód, kierując swe kroki,
Szukają szczęścia lepszego.

Służyć dla obcych nie przynosi sromu: —
Często młodzieniec rodu dość zacnego,
U dawnych jeńców, u sług swego domu
Szuka chleba powszedniego.

Wróćmy do dworku — nowy dziedzic jego
Sam w nim nie mieszka, oddaje w dzierżawę,
I dworek często ma pana innego,
Często ma hałas i wrzawę.
Jeden posesor został wypędzony,
Drugi się oparł — zaprowadził sprawę;
Ale że kontrakt był nie uprawniony,
Więc go rzucili pod ławę.

I dziedzic wygrał — a posesor płacze,
Bo mu ostatek chudoby zabrali;
Kto wie, czy biedny kiedy wykołacze,
Iżby choć w części oddali.
Dzisiaj w nim mieszka szlachcic staréj daty;
By był ostróżnym, ludzie ostrzegali;
Lecz gdzie się podzieć? nie ma własnéj chaty—
Zapłacił ile żądali.

Dachy poprawił, ściany popodpierał,
Płoty ogrodził, wróta powstawował,

Rowy oczyścił, dyrwany wydzierał —
    Ile mógł, tyle pracował.
Żął miotłę z dyrsą, bo żyto chybiło;
Lnu posiał mało i nie fabrykował;
Siana nie sprzedał, by nadal rodziło,
    Większą oborę zachował.

Jedną intratę z góry on zapłacił,
Drugą za przyszły rok złożyć kazali:
Przez zły urodzaj, piérwszą całkiem stracił,
    Na drugą kartę wydali.
— Więc czemuż, proszę, rumację zaczyna?
Czy sam nie życzył, czy gwałtem wygnali,
Lub kontrakt skończył? — to mała przyczyna,
    Możeby nadal oddali.

— Kontrakt mu służy, bo rok się mieszkało,
A tam wyraźnie *sześć lat* napisano;
Lecz musi tracić koszta, pracę całą,
    Bo mu już wypowiedziano.
— Pewno dziedzica obraził? lub może
O fałsz czy podstęp jaki przekonano?
Czy włość ciemiężył, — albo, co strzeż Boże,
    Umowy nie dochowano?

— Czémże obraził? chyba że w gawędzie,
O swego rodu dawności nadmienił:
Ponieważ dziedzic w parwenjuszów rzędzie,
Więc często się zarumienił.
Włość go kochała, i on ją szanował,
Umowy ani w literze nie zmienił;
Ale mu sąsiad coś podaukcjonował,
A dziedzic rubla ocenił.

I prawo prawném zaraz być przestanie,
Zanic umowa zrobiona z świadkami;
Słowo honoru czczym dymem zostanie,
Tylko brzęknij rubelkami.
— Tacy to nasi cni obywatele!
— Są i rzetelni, kto słowa nie łamie,
Takiego trzeba......

P. PIOTR.

— Waść gadasz za wiele,
»Trzymaj język za zębami...

— Mówią ludzie, że to jest cnota nad cnotami;
Ale prawdę powiedzieć, także nie od rzeczy,
Że rzetelnych potrzeba szukać z pochodniami;
I któryż mi z was teraz téj prawdzie zaprzeczy?

A jeśli kto zaprzeczy, faktami dowiodę,
Że u nas *Święty Jerzy*, to ***Prima Aprylа:***
Ten summy nie uzyskał, i ztąd poniósł szkodę,
A tamtemu debitor wdzięcznie się przymila;

Lecz kapitału tego roku ci nie odda,
A nie odda, bo niechce — to cała przyczyna;—
Na prośby i na modły twoich piersi szkoda;
Pogroź - że mu procesem — to śmiać się zaczyna.

Ten biedak się ucieszył pańską obietnicą,
Że kapitalik zyszcze — Dosiadłszy wasąga,
W bezdróż rusza do miasta. Pan śmiałą źrenicą,
Na bruku go trzymając, z wypłatą odciąga;

Aż w końcu proponuje odstąpić połowę,
A inaczéj wypłaty napróżno on żąda,—
Biedny, w mieście bez grosza, próżno łamie głowę.—
Na odstępne się zgadza, — restancji wygląda.

I na restancję dostał tylko nową kartę,
Kartę z pańskim podpisem, przy szumnym tytule;
Chce ją zbyć lichwiarzowi; ten rzekł: »mało warte
»Podpisy z tytułami, gdy pustki w szkatule!«

Więc szlachcic z téj połowy znowu cząstkę traci;
A opłaciwszy koszta miastu i podróży;
Z szczupłym workiem wróciwszy, powiada do braci:
»Niech wam moja przygoda za naukę służy!

»Nie wierzcie! okpiwają prostodusznych ludzi,
»Twój worek do grzeczności daje mu powody:
»Póty ciebie poważa, nim twój grosz wyłudzi,
»Późniéj rzuci jak suknie, które wyszły z mody.

»Jak psa, albo kochankę, które już znudziły,
»Widoku ich nie cierpią, za drzwi pędzić każą;
»Póty były przyjęte, póki go bawiły —
»Gdy twój worek wypróżnią, — i ci drzwi pokażą.»

Tamten swój kapitalik dał przyjacielowi,
I pewny, że przyjaciel na termin wypłaci;
Bo ta summka, to jego cały byt stanowi —
»Odda, bo wziął w potrzebie« — ufności nie traci.

Więc targuje fortunę — umowę zrobiono,
I pod przepadłą daje swéj pracy ostatek;
Bo w umowie żądali, by tak wyrażono:
»Reszty w termin nie złoży, to traci zadatek.“

Dwaj współobywatele na pewno go wzięli:
Jeden przyrzekł wypłacić, ten do kupna zwabił;
Co był winien, z przedawcą jak się zrozumieli,
Tamten w termin nie oddał, ten za zawód zgrabił.

I podobnych tysiącami,
Ozdobionych dowcipkami,
Mamy zdarzeń w każdym roku,
Tylko poglądajmy z boku.
O! ten pan, zda się, bogaty,
Ma dosyć znaczne intraty,
Nie ma dzieci, ani żony,
Jakby ptaszek poduczony;
Za granicą wojażował,
Z Niemcami filozofował,
Kapłanów zwał aktorami,
W folwarkach agronomował,
Na sejmikach intrygował,
Faktorom sypał rublami,—
A jak przyszedł Święty Jerzy,
Nigdzie nie dał, wszędzie bierze,
Jeszcze sąsiedzi stękają,
Że procentów nie dostają.

Więc z *dwudziestego trzeciego*
Robi Apryla *piérwszego.*
Chociaż Jerzy, Żołnierz prawy,
Radby był z naszéj poprawy,
Ci w nim zawsze wroga mają,
Którzy Rotszyldów udają.
A tamten — dobra kupował,
Czwórki sprzęgał, dóm budował,
Kapitałów miał bez liku, —
Ale tylko na języku.
Gdzie czuł, że rubel spoczywał,
Tam z komplementem przybywał:
»Pożycz mi na krótką chwilę,
»Oddam pod koniec Apryla.“
A Apryl *dwudziesty trzeci,*
Wszystko jak w lustrze wyświeci,
Wiele masek pozdejmuje,
I bankrutów porachuje:
On pokaże, kto ma wiele,
A kto próżno gębą miele,
Kto prawdę mówi, kto durzy.
O! są nawet tacy, którzy
Jeszcze trafią *mydlić oczy;*
Lecz i was Apryl zaskoczy!

Nie dziś, jutro Żołnierz święty
Odkryje wasze wykręty,
Jerzy z egzekucją stanie,
Będzie tam zębów zgrzytanie,
Bo już przebieracie miary
Cudzéj pracy, bliźnich wiary!...

Tu Piotr pogładził łysinę,
I tak znów mówić zaczyna:

— »To stare sztuki i dawne obrazki,
Eksdywizorskie przedstawujesz czasy,
Gdy nie praw w sądzie szukali, lecz łaski,
Gdy biedny z możnym nie mógł iść w zapasy.

Bo pod przemocą wszystko się płaszczyło,
Bo czołem bili przed blaszką świecącą,
Gdyśmy stracili, co najdroższém było,
Wtenczas nieprawość była górującą.

Wtenczas bankrutów spotkać było łatwo,
Kiedy swawolni bezkarnie broili:
Gdy ojciec niemiał opieki nad dziatwą
Gdyśmy bez prawa i w ucisku żyli.

A dzisiaj znowu wszystko wraca w karby,
Ustaje przemoc, przedajność kasują,

Czy kto ubogi, czy posiada skarby —
Wszyscy spokojni, bo opiekę czują.

Przed sędzią każdy dziś prawo położy;
»Oddaj coś winien!« śmiało powie w oczy;
A własne tracić, kto chce, zawsze może,
Bo się fortuna, mówią, *kołem toczy.*

Ja tutaj samą krytykę znajduję;
To jest niegrzecznie, i niepięknie wcale;
Lepiéj pisz *romans.*«
— Za radę dziękuję,
Ale mi pozwól, będę czytał daléj.—

III.

Ty, posesorów patronie,
Swięty Jerzy! w ich obronie
Już nie stajesz jak na probie
Zostawiłeś samych sobie
Bez opieki i bez prawa,
Wszędy na nich krzyk i wrzawa;
Tarczą twoją nie zasłaniasz,
I bied od nich nie odganiasz;

Choć oni w każdéj potrzebie
Co rok garną się do ciebie.

Dziś liczni twoi pupille,
(Dawniéj ich nie było tyle)
Pod twój sztandar, pod twe znaki,
Cisną się różnemi szlaki,
Z różnych stron i różnych krajów,
Różnych cnót i obyczajów.
Ale mało jest rolników —
Jest handlarzy, przekupników:
Ten *nalewać* umie żwawo,
Tego socha— *w lewo, w prawo;*
Wielu, co służyli skrzętnie,
Krótko, czynnie, umiejętnie,
Panu z intrat zero zdali,
A dochód sobie zabrali;
Znajdziesz *łowczokommisarzy,*
Piszczykruczków, i pisarzy,
Od warsztatów, z przedpokojów,
Różnéj barwy, różnych krojów,
Z miasta, ze dworu i z gminy;
Słowem — jest-to *zbór drużyny.*

Patrz — tamten z bożego ludu,
Co zrobił fundusz bez trudu,
Dziś trzyma folwark w arendzie,
Wraz dziedzica szwagrem będzie.
Bo z pieniędzmi znajdzie względy,
Znajdzie tytuły urzędy;
A choć brud ręce, pierś kryje,
To się szampańskiém obmyje.
Wszystko to posesorowie,
Którym już weszło w przysłowie,
Że za rubla w każdéj porze,
Hołysz kłania się, *Chłop* orze;
Każdy coś grosza chwyciwszy,
Czynność swoję porzuciwszy,
Skoro gdzieś podaukcjonuje,
Za trzy lata obiecuje,
Wraz i dzierżawę dostanie.
Lecz co oddajesz, mospanie!
Czy pomyślisz nad swą rolą,
I nad kmiotków twoich dolą?
On rolnictwa nie rozumie,
On orać i siać nie umie;
A przy takim posesorze,
Co nie zna, jak mu kto orze,

Z twych dóbr zostanie po mału
Dworek z piérwszego rozdziału.
Czy ci wszystko zapłacono?
A warunki czy spełniono?
A teraz inne kłopoty,
O karność i o roboty:
A to *cham* go nie szanuje,
Czapki przed nim nie zdejmuje,
Zwolna chodzi, mało niesie,
Weź go za łeb, to nie gnie się,
Późno przyszedł, zrobił mało,
Werda! nie krzyczał noc całą,
A choć krzyczał, to nie głośno; —
Więc z obu stron skargi rosną,
Posesor sobie, włość sobie, —
Pogodźże tu strony obie.
Bo ta, że pana słuchała,
To ją jejmość okuksała,
W mrozie na lód posadziła,
By się nieco ochłodziła.
Rączka lekka — kara mała —
Jednakże twoja włość cała
Stęka, skarży się i płacze,
I do drzwi twoich kołacze.

W tym razie skarg nie przyjęto,
Bo za lat trzy z góry wzięto.
Ale przy końcu *tenuty*,
Piszczyk zarobi na bóty,
Przystaw, *pismowodziciele* . . .
— »Waść i znów gadasz za wiele,
A wiesz — cnota nad cnotami« . . .
— Milczę.

— »Kończ z posesorami.«
— Dobrze, ale z góry powiem,
Że późniéj z urzędnikami,
Jeśli Bóg obdarzy zdrowiem,
Drugą piosnkę zaśpiewamy,
I w inną dudkę zagramy,
Wszak nóty gotowe mamy.
Jak wy bliźnim, Swięty Jerzy
Tą samą miarką wam mierzy;
Z swéj opieki was wypuścił,
I klęski na was dopuścił;
Posesje wam wydrożyli,
Innym całkiem odmówili,
Tak, że w dzień tego patrona
Niewié w którą dążyć stronę.

Przed tém świętem, kilką dniami
W różne strony taborami,
Z manatkami, z kubełkami,
Każdy jedzie w swoją drogę:
I z krówkami i z dziatkami,
Wloką się noga za nogę,
Jak koczujące narody,
Szukając nowéj zagrody.

Jakież wam warunki dają!
Jak was nizko oceniają!
Jak wam mało dają wiary,
Przerzucają, jak bót stary:
To za wasze mylne zdania,
Za waszą chęć panowania —
»Gdy wezmę folwark w arendę,
»I obywatelem będę!«

Nie tak łatwo, jak się zdaje,
Wszystkim ten tytuł przystaje.
Prawda, że pieniądze macie,
Kapitały posiadacie,
Przeszłości nie pamiętając,
Z Panami *za panie bracie*,

I chłopkom skórę zdzieracie,
Na nic się nie oglądając.
Przy bufecie bufonujesz,
Kolegów pończem traktujesz,
Pieniaczysz twego sąsiada;
W ekwipażu paradujesz,
I stosa dzielnie szlifujesz,
Mając ztąd sławę nielada.

Nie to obywatelowi
U współziomków cześć stanowi —
Nie dość herbów, nie dość rodu,
Przywilejów i wywodu,
I fortuny — jeśli ona
Z lichwy, krzywd, i łez stworzona;
Ale trzeba być uczynnym,
Dla nieszczęsnych dobroczynnym,
Nad kmiotkami litościwym,
Nie wydzierać im z rąk chleba,
O dobro kraju troskliwym,
Dla nieprzyjaciół nie mściwym,
I przytém koniecznie trzeba
Być dla wszystkich — sprawieliwym.

Przywracać pokój zwaśnionym,
Podawać rękę zgnębionym.
Sieroty wspierać powinien.
Obywatel jeszcze winien
W każdéj publicznéj potrzebie,
Poświęcić samego siebie.

A więc widzisz, mój łaskawco,
Że nie dość zostać dzierżawcą,
A nawet nie dość własności —
Trzeba zasług! — w ogólności
Trzeba mieć poczciwe mienie,
Trzeba mieć czyste sumienie;
Trzeba i cnót, i lat wielu,
Nim nazwą — Obywatelu!

Piotr szklankę dopił, wąs otarł, poprawił,
I tak w pół żartem swe zdanie objawił:

»Oto to łaźnia nielada,
I prawdy jest wiele:
Złego — przysłowie powiada —
Biją i w kościele.

Kto się wzniósł nad stan zuchwale,
I bliźnim potrąca,
Łaźnia mu nie szkodzi — ale
Czy nie za gorąca?

Sprawuj łaźnię wolniéj trocha,
To będzie przyjęta;
A ty chłoszczesz, jak macocha
Swoje pasierzbięta.«

IV.

Wy proście, a Swięty Jerzy
Wesprze swych starych żołnierzy,
Rolników z dziada, pradziada;
Bo dla was dzisiaj — to biada!
Wszak zawsze poczciwie żyli,
Zawsze rzetelnymi byli,
Nie mając zagonu swego,
Pilnowali się cudzego:
Choć im płacę podwyższali,
Oni się miejsca trzymali,
Znosząc wszelkie utrapienie,
Oni roli pilnowali,
Orali i bronowali;
A chcąc mieć czyste sumienie,
W szachrajstwa się nie wdawali —
I dziś bez chleba zostali.

Kto się modli do Maryi
To ten znajdzie w litanii
Czy w antyfony początku:
Że zostać orędownikiem,
Znaczyło być pośrednikiem
I protektorem majątku.
Dawniej w dzień wam poświęcony,
Dziedzic czekał, z któréj strony
Posesor z workiem zawita,
Z nim w domu radość zakwita.
On sam oceniał intraty,
On termin oznaczał płaty,
Rzadko się kiedy prawował,
Bo sam warunki dyktował,
Te zawsze były uczciwe:
Więc punktualnie dochował,
Bo nie naprózno pracował,
Choć i cudzą orząc niwę.
A broń Boże jeszcze straty—
To dziedzic choć niebogaty,
Co mógł, to robił dobrego,
Bo czuł nad stratą bliźniego,
A dziś, panie posesorze!
To nic, że zapłacisz w porze,

I masz komplet w twéj oborze,
Tak, jak ci kontrakt dyktuje;
Nie dość, że masz kaucję w worze,
Lecz gdy dziedzic potrzebuje,
Musisz dać dla jegomości,
Bez procentu i pewności;
Ledwo ci świstek dać raczy.

A gdy twój fundusz zahaczy,
Wtenczas, mości posesorze,
Jeśli nie byłeś w polorze,
Poznasz gdzie *raki zimują*,
Teraz cię wypolerują:
Mając twój fundusz w swéj woli,
Jak kot ze szczurem swawoli;
Zdarty twój grosz, praca, sława,
Bo dla ciebie nie ma prawa!

Gdy umowę zawiązuje,
Jak ci wiele obiecuje,
Jak wié, czego ci potrzeba;
Nad twoją wygodą czuje,
Reparuje, i buduje,
I pociesza.

»Będzie chleba,
»Bo to folwark *jabłko złote!*
»Nie ma dzikowin, ni błota,
»To prawdziwie chlebodajny,
»A jaki grunt urodzajny!
»Jak dobrze żyto usiane!
»A jak wielki ukos siana!
»Jest i opał, jest i woda,
»Pasza i wszelka wygoda.»
Wysiewu dużo ci poda.
Z dobrym człowiekiem interes,
Więc o zapłatę już zgoda.
No i dobrze będzie teraz,
Zda się, nie spotka cię strata:
Nie będziesz miał żadnéj biedy,
Włość posłuszna i bogata,
On ci życzy jak dla brata;
Lecz słuchaj, co będzie wtedy,
Gdy zapłacisz za trzy lata?

Folwarku z blizka nie znałeś,
Ale słowu zaufałes—
Bo to rzecz z obywatelem,
Nie z szachrajem, nie z kręcielem,

(Choć on prawda został wczora
Sam dziedzicem z posesora),
Nie na rynku, ale w domu,
Przy ludziach, nie pokryjomu,
Przyrzekał, podawał, liczył,
Sam ci radził, sam ci życzył;
Dawną przyjaźń przypominał,
I na honor się zaklinał,
Że nie ma fałszu żadnego.
A jakiż rezultat z tego?
 Gdy już wszystko zapłaciłeś,
Żonę, dzieci sprowadziłeś, —
Patrz teraz jaka wygoda:
Woda z dołu, z góry woda,
Nawet w dżdżystą nawalnicę,
Masz w twym pokoju prysznicę;
Więc choruj—bo na choroby,
Masz maszyny i sposoby;
Będziesz chory, to licz śmiało
I na kieszeń i na ciało....
 Teraz pójdziem gospodarzyć.
Jak to słodko było marzyć,
Żeś wziął folwark—jabłko złote!
A cóżeś znalazł?— *hołotę !*

Dyrwany raz poorano,
I na tém żyto posiano;
Pérz zieleni się na niwie;
Morgów mniéj, niż ci podano,
I fałszywie morgowano,
A wyciąg robił uczciwie;
W pół podania zbierzesz siana,
I to wikswa po kolana;
Choć ci kłos w polu opada,
Dziedzic twą pańszczyzną włada,
I z całéj wsi ludzi, koni
Do swojéj fabryki goni;
A ty,—choć i płacisz drogo,
Pędź kosić, to nie masz kogo.

A na twoje skargi, żale,
Odpowie zimno, niedbale:
—»Niewiem, zobaczę... pomyślę...
»Być nie może... jednak wyszlę
»Wójta—on sprawdzi tę akcję,
»A późniéj dam sytysfakcję.»
—Niechaj że prędzéj sprawdzają,
Bo mi dni nie odbywają —
Czas roboczy. —

—»Prawda i to,
»I wójt ma dośpiałe żyto;
»Sprawdzi się w drugą niedzielę.»—
I podobnych wiele—wiele
Znajdziesz takich przyjemności
Od dziedzica i od włości!
Chłopek i tak wychytrzony,
A gdy jeszcze nauczony,
Tyle ci wyrządzi złości,—
Aż wyszedłszy z cierpliwości,
Zzgromisz—choć bolu nie czuje,
Zaraz się kładnie, choruje.
Krzykną—»zbity!»—wraz kamfory,
I apteki i doktory;
Dni odrabiać nie ma komu,
Jeszcze masz ambaras w domu:
Bo śledztwa prowadzą czynnie,
I spotwarzą cię niewinnie.
Jak dwór ślicznie urządzono!
Niebem kryto, i grodzono;
Koło wioski ani kołu,
Ani konia, ani wołu,
Ani żadnéj rzeczy zgoła,
A chłop: «*chleba! chleba!*» woła.

Więc daj wszystko posesorze:
Bo inaczéj na ugorze,
Pod jarzynę, ni w ogrodzie,
Choć już dawno weszło zorze,
Jednak tobie nikt nie orze,
Chyba orz sam pan dobrodziéj.
A dziedzice tobie radzą,
Daj i odbierz, gdy oddadzą.
Lud biedny, czémże on odda?
A stracić byłoby szkoda,
Bo i tak strat dużo miałeś,
I niewygod ucierpiałeś,
Brak rąk, wysiewu, ukosu;
Lecz milcz! — bo ty nie masz głosu.

Twój dziedzic człek honorowy,
Obywatel stosunkowy,
Z *Sądem Ziemskim* spokrewniony,
Tam go znają z dobréj strony;
Przytém znany z mądréj głowy,
I znany z poczciwéj mowy....
—Tylko z mowy?
—Czynów chcecie?
Czyn poczciwy—bal w powiecie.

Krzykną—żeś ty niespokojny,
Szukasz kłótni, szukasz wojny,
Bo przychodzisz z rachunkami,
A więc wyrządzasz zniewagę:
Wraz to nazwą pretensjami,
Przyczepkami, wykrętami,
I taką twą nieuwagę,
Nazwą złemi postępkami—
I na wzajem narachują,
I pretensje zastosują.
O, tam węgły się skrzywiły,
A tam gdzieś dachy nadgniły;
Włość poduczą, by téj chwili
Na dzierżawcę się skarzyli:
Co na chléb dawałeś żyto,
Dyrsy było w niém sowito;
Piotr we dworze stracił wory,
Od twego krzyku był chory;
Paweł pół morga zbronował,
Z tego koń mu zachorował;
Jana w mróz wysłałeś w drogę,
Spił się i odmroził nogę;
Maciéj kwadrans dłużéj robił,
Mateuszaś rózgą obił,

Że trząsł snopy na twéj niwie.
A bić za to, czy godziwie?
Posesor tyran dla ludzi,
Człek w nim litości nie wzbudzi.
Bo dziedzic czułą naturę
Ma zawsze, choć plaży skórę;
Prawie codzień komuś z włości,
Da sto batów—to z ludzkości!
Z tobą dziś myśli poczciwie,
I chce skończyć sprawiedliwie.
—O tak—waćpan z rachunkami,
Ja z mojemi pretensjami,
Zrobim czysto, gładko, kwita,
Z danych koni, wołów, żyta.
A co! nie chcesz? krzywda tobie?
No,—to waść prawuj się sobie,
I z posesji zaraz fora!—
—Ależ to jeszcze nie pora—
Dwa tylko lata mieszkałem,
A za trzy pieniądze dałem.
—A masz kontrakt, prawo, akta,
Albo inne jakie fakta?
—Mam pańskie *słowo honoru*.
—To w prawie nie ma waloru.

—A uczciwość, a sumienie?
—Czyż to napełnia kieszenie?
Waść schowaj się z morałami;
A z swojemi rachunkami,
Chcesz—godź się, a nie—prawuj się!
A tymczasem już rumuj się:
Bo od świętego Jerzego,
Zaraz będę miał drugiego;
Już Żyd mnie przyrzekł wieczorem,
Dać cichego, spokojnego,....
A ja właśnie chcę takiego.
Dziś nie bieda z posesorem....
Taki i zapłaci wyżéj,
I karku uchyli niżéj,
I i usłuży, i nadskoczy,
I prawdy nie powie w oczy;
A choć koł mu czesz na głowie,
On stęknie,—a nic nie powie.
—Lecz gdy czas znajdzie po temu,
Stokrotnie nagrodzisz jemu,
Bo widać z ruchu i z miny,
Że to ze zboru *drużyny*.
Ty procesu probowałeś,
I prawując się przegrałeś;

Otoż to los posesora!
Zda się panem byłeś wczora,
A dzisiaj w nędzy zostałeś,
Bo już z góry dać nie miałeś.
Póki miałeś, to płaciłeś,
Gdy cały fundusz straciłeś,
Więc na starość, posesorze,
Idź z dziadami śpiewać w chorze.
O! takich wiele los gniecie,
Co z prawdą żyli na świecie,
Nie w swoje się nie wdawali,
I płasko nie upadali,
Tylko swego pilnowali;
Facjendami nie zniemczeni,
W obyczajach nie spodleni,
Ni kogo nie okpiwali;
Tylko się sochy trzymali,
Orali i bronowali:
Dziś im zagon odebrano,
I na tutactwo skazano.
»*Prostak jestem z urodzenia,*
Po prostu myślę i czuję;
Prosty sposób mam myślenia,
Po prostu was opisuję.

Z Karpińskimi prawda żyła, (1)
A dziś prawda już niemiła,
Dzisiaj prawda oczy kole:
Więc na cóż ja to gryzmolę?
Wszakże czytać nikt nie będzie,
Bo tu sama prawda wszędzie.

O wy! co prawdę kochacie,
I w obyczajach szukacie poprawy:
Jeśli trafem te kilka kartek przeczytacie,
Choć tu nie wiele znajdziecie zabawy,—
Lecz na tych, co swe obrazki
Znalazłszy, podniecą wrzaski,
Nie srożcie się, bo prawda! pewno zawołacie.
—Pewno, posesorowie chórem zawołali,
Czy wiész co? warto, nużby wydrukować
Te wszystkie psoty—nie ma co żałować,
Niechajby wszyscy czytali.—
Gdy ostatki już czytałem,
Wciąż na Piotra uważałem:

---

(1) Żyła w owe czasy prawda, i szanowano ją, kiedy umierający ojciec mówił do syna:
„Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci:
„Zostawiam cię ubogim; prawda cię zbogaci."
Fran. Karpiński (Powrot z Warszawy).

A on słuchał, głową kiwał,
Czas jakiś się nie odzywał;
Potém wstał, spojrzał do koła,
I témi słowy zawoła:

»Czy to nie będzie kłamstwo nad kłamstwami?
»Jabym przekonał, gdyby mnie słuchano:
»W Litwie i Żmudzi, między dziedzicami
»Takiego nie ma, jak tu opisano.

»U nas poczciwi są obywatele,
»Z wyższém uczuciem, z sercem, duszą prawą;
»I wszyscy naszéj ziemi właściciele,
»Są to potomki tych, co kiedyś sławą

»Świat napełniali—byli szanowani:
»A więc ich wnuki, w niczém nieodrodni,
»Nieprawościami dotąd nie zmazani,
»Do dziś dnia pochwał i wiary są godni.

»Mają naukę, moralność, pojęcie,
»Jak kochać bliźnich, co jest sprawiedliwość;
»Gdy słowo dadzą, dochowują święcie,
»Wysoko cenią honor i uczciwość.

»Wszyscy szlachetni, a przybylców mało,
»I ci się kształcą, bo przykłady mają;
»Byle zdrożnego cóś w kim się dojrzało,
»Wszyscy nim gardzą, z grona wyrzucają.

»Więc ukształcone społeczeństwo nasze,
»Nie mieści w sobie dziedzica takiego,
»Co słowo łamie, i procesem straszy,
»Okpiwa, krzywdzi posesora swego.

»I zkąd go wziąłeś? czy przyszedł z taborem
»Dzikich narodów, co gdzieś za górami?
»Że to nie Litwin, to ręczę honorem: —
»Sądźcie dopiéro, który z nas tu kłamie.

»I cóż nam więcéj powiesz, przyjacielu?
»Może pochwalisz? dość już krytykować;
»Wszak u nas arcy pisarzy jest wielu;
»Bierz wzór, jak myślą i piórem kierować.

»Dobrze, gdy bawi, nie gniewa czytanie;
»Pisać,—to trzeba mieć talent, mosanie
»Spiewak litewski gdy zaintonuje,
»Głos miły serce i duszę przenika,

»Echo daleko potomność uczuje;
»Dziś głucho—czemuż nikt mu nie wtóruje? »
—Jak głos porównać wróbla do słowika?
Spiewaka śpiewak, tylko naśladuje.

Kto to rzekł, nie uważałem,
Więc, że nie słyszę, udałem;
Prędko sposzyt rozwinąłem,
I ostatnią część zacząłem.

V.

Posesor tułacz—smutna twoja dola!
Na Litwie wszystka zajęta już rola,
Dla ciebie nie ma zagonu, ni grzędy—
Los cię prześladuje wszędy.

Bo dzisiaj wielka spekulantów zgraja,
Choć nie zna, jak to lemiesz niwy kraja,
Ale frymarczą, drą i procesują.
Tacy to posesorują.

Oni przepłacą—zawsze wybrać muszą,
Dziedzica okpią, a z chłopka wyduszą;
Gdzie nie przeskoczy, płasko łazić będzie,
Zawsze zysk mając na względzie.

A wy, szlachetni rolnicy téj ziemi!
Gdzież to wam przyszło porównać się z niemi!
Wyście szli z prawdą, swych ojców śladami,
Dorobkowicze z rublami.

I oni dzisiaj znacznie wyżéj stoją,
Wstydu nie znają, hańby się nie boją.
Tam się rolnictwo do upadku kłoni,
Gdzie socha w handlarza dłoni.

Szlachcic od wieków na własnym zagonie
Miał swe bogactwa w lemieszu i bronie;
Zyski z lichwiarstwa Litwinom nieznane,
Przychodniom były oddane.

W różnych przygodach, gdy swój postradałeś,
Dotąd na cudzym zagonie orałeś;
Teraz, gdy życzysz twój honor zachować,
To przestań posesorować.

Jeśli nie braknie u ciebie kopiejki,
Kup własny zagon, choć by i nie wielki,
A ze skowronkiem wyśpiewuj w pokorze:
»I ty śpiewasz i ja orzę.«

Ci, co od wieków twym się chlebem tuczą,
Dziś ciebie orać i bronować uczą—

Pokażmy, że bez niemieckiéj mądrości,
Znajdziem chléb na swéj własności.

Biedaku! gdy ci na kupno brakuje,
Idź, proś, może ci kto grunt zaczynszuje;
Pan z panów pewno ciebie nie wygoni,
Boś był *towarzyszem broni.*

A synów twoich ucz rzemiosła, bracie!
Przez to szlachectwa wszak nie postradacie:
Można i cnotę i godność zachować
I na kęs chleba pracować.

Lepiéj jest kosą albo młotem władać,
Niż do pieniactwa z młodu się układać,
Ostrzyć pazury, by drzéć ziomka swego,
I błyszczéć we łzach biednego.

Gdzie strumień płynie, co dwa kraje dzieli,
Tam znajdziesz panów z miecza i z kądzieli;
U nich mieszkańcy niedoli nie czują,
Dzisiaj wiek złoty znajdują.

Tam nie odepchną szlachcica biednego,
Lecz radzi wesprzéć, przytulić każdego;
A gdy kto stęka, pewno bez przyczyny,
Bo i tam jest *zbiór drużyny.*

Ten pan uczciwych, zda się, cenić umie,
By tylko dojrzał w rublo-chciwców tłumie;
Bo też tak płaską, otoczon jest zgrają,
Że mu dójść prawdy nie dają.

Mówią, że i tak mieszkańców traktują,
Słyszałem od tych którzy praktykują—
Panek świeżutki, tytułu Jasnego,
Przemówił do przybyłego.

—»Czego *szlachcica ta* stoi przy ganku?»
—Panie chcę zostać na miejscu w zaścianku;
Jasnemu panu zawsze wypłacałem,
Na nowo wybudowałem.—

—»*Nie mogie*—memu Ickowi oddałem,
Bo Ickę nadal w karczmie utrzymałem;
Żyda bez roli chować nie wypada—
Tak mi Pan *sprawnik* powiada.

Ty nie masz miejsca—wreszcie proś Icyka,
Słyszałem, on chce dostać połownika;
Może cię przyjmie—gadaj z nim kochanku,
A pójdź precz od mego ganku!»

Gdy ja to słyszę, to mi serce boli:
Więc, gdy nie mogę pomódz ci w niedoli,

Wspomnę czém byłeś, czém jesteś na świecie—
Choć o tém już wszyscy wiecie.

Szlachto litewska! czynami twojemi
Daleko słyniesz,—aż na krańcach ziemi
Cnoty twe wielbią, dzieła twoje sławią,
I pomniki tobie stawią.

Tam swym talentem i umiejętnością,
A tu odwagą, męstwem, szlachetnością,
Albo bogactwem, zadziwiać umiałaś,
Bo hojną ręką sypałaś.

Gdy kto ubliżył, każdego zgromiłaś,
I przed Tatarem karku nie schyliłaś.
Niemcy jęczeli, gdy ich bisurmany
Już mieli okuć w kajdany.

Wtenczas szlachcica prosili ze łzami:
Broń nas! i panuj, jeśli chcesz, *nad nami.*
Jan Trzeci szlachtę pod Wiedniem postawił,
Zbił Turków—Niemców wybawił.

Za trudy nagród nigdy nie wyglądał—
Lał pot, krew' nawet, gdy przyjaciel żądał;
Ani oszukał, ni zdradził nikogo,
Bo honor oceniał drogo.

Szlachcic do dziś dnia ma czyste sumienie;
A jeśli było jakie uchybienie,
Które aż nadto świat czarno maluje,
I na rzecz szlachty karbuje—

Wszystko to starsi bracia nabroili,
Oni swą wielkość i sławę przyćmili;
Za to dziś mają złoto i dostatki, —
A szlachcic stracił ostatki.

Najmniejszy czyn wasz światu jest wiadomy —
Dziejami twemi zapisane tomy,
Świadczą, że dzielna, poczciwa i bitna,
Była szlachta starożytna.

A dziś — mój Boże! — was poniewierają;
Tylko szlachcicem tego nazywają,
Kto prostak, nieuk, pustéj mozgownicy:
Mowią — *szlachcic z okolicy.*

Ten, co was nie zna, może tak pobłądzi:
Przybysz, parwenjusz tak o was posądzi;
Z dziadów, pradziadów litewscy magnaci
Szanują szlachtę jak braci.

Bo z nimi razem krajowi służyli,
W każdéj przygodzie ramieniem bronili;

Krwią i dostatkiem wspólnie szafowali,
Magnatów wielkość wspierali.

Nie ubliżają wam dzisiejsze prawa —
Szanuje, czci was Najwyższa ustawa —
Wzniesion nad jasny tytuł zagraniczny,
Dawny szlachcic okoliczny.

Ale wy tylko bądźcie szlachetnemi,
Nie hańbcie siebie czynami niecnemi:
Niech prawda, trzeźwość, rozwaga, uczynność,
Ma zawsze u was gościnność.

Wtenczas znów będzie *szlachcic na zagrodzie*,
Równy hrabiemu, jak był wojewodzie;
Pod skrzydłem prawa, zbrojny cnoty chwałą,
Pokręcisz, bracie, wąs śmiało!

Dziady szlachectwo mieczem nabywali,
Krwią swą zmywając, wnukom dochowali;
Myśmy je winni utrzymać przez cnoty,
Bo to są drogie klejnoty.

Nazwa Szlachetny! — to wielkie znaczenie:
Cnot i talentów wspólne połączenie;
Wyższéj ozdoby już nie ma na ziemi,
Chyba porównać z świętemi.

Ubóstwo, nędza, choć was w gmin wmieszają,
Lecz zawsze *złoto w popiele poznają;*
Czas wszystko niszczy, narody odmienia —
O nas zostaną wspomnienia!

Skończyłem czytać, w koło cisza głucha:
Myślę — ot, jak ich me wiersze zajęły!
Spojrzę na gości, nikt się ani rucha —
Aż oni wszyscy tak smacznie posnęli,
Że nikt nie zważał na moje czytanie;
Ten szklankę w ręku, ów łyżeczkę trzymał,
Ten spał już w krześle, inny tylko drzémał.
Wtém Piotr zawołał: — »Słuchajże, mospanie!«
Piotr tylko jeden, niewiem czy z grzeczności,
Czy przez ciekawość, dość do końca słuchał.
Wnet na głos jego, każdy się poruchał,
I zlekka oczki odmrużali goście.
Piot wąs pokręcił, na nich okiem rzucił,
I z swą przemową do mnie się obrócił:

»Za ten rozdzialik, to ślicznie dziękuję;
»Ja sam, mospanie, karmazyn dość dawny,
»Główne przymioty i dziś w sobie czuję:
»Do bicia zręczny, a z wypicia sławny!

»A ty zalecasz trzezwość i rozwagę!
»Więc wypić, wypić — Szlachcica zalety
»Zupełnie stracą wziętość i powagę;
»A innych u nas nie wiele, niestety! —

Nauka trudno przychodzi biednemu;
Talentów mało — Szlachcic bez oświaty
Na nic się nie zda — Nie to co przed laty,
Gdy stał otworem dóm Pański każdemu.

I tam to młodzież wychowanie brała,
Rosła w pobożność, talenta i cnoty;
Lecz już dla szlachty przeminął wiek złoty,
A tylko o nim pamięć pozostała.

Bywało szlachcic obradom przewodził,
Prawo dyktował, i prawu uległ:
Potrzeba było on na ostrze godził, —
A późniéj jakoś tego nie postrzegał,
Że już powoli służy dla magnata.
A ten go naprzód bratem swym nazywał,
Potém zaś poił, durzył i okpiwał,
W końcu się wyrzekł — i rzucił w złéj doli.
Dziś prawodawcy potomkiem pamięta:
Magnat, co urósł *nie z tego co boli*,
I były hajduk dawnego magnata.

Pochlebca, oszust dzisiaj tylko wchodzi,
W pańskie podwoje, co chce żyć bez pracy;
A gdy już wejdzie raz taki ladacy,
To poczciwemu drogę tam zagrodzi.

Szlachetniéj, bracie, orać na zagonie
Niż jeść chléb cudzy, gorzki, służebniczy,
Jeszcze się płaszcząc! — a za to któż życzy,
Jak *Marek w piekle*, błąkać się po zgonie.

Gdy ci trudno o naukę, albo talent świetny,
Gdy tobie nikt ręki nie poda;
Zbrój się w cnoty, kochaj bliźnich, a będziesz szlachetny,
I wyższa cię spotka nagroda.

PRZYPISEK

DO CZĘŚCI III.

(a) — Znajdziesz łowczo-kommisarzy....

Nie łowczo, lecz łowuszczo pisać należało;
Łowuszczo-kommisarzy, lepiéjby przystało.
Często kommisarz z kotem są jednéj natury:
Pogładź tylko którego — wnet ogon do góry
Podnosi, i ogonem nos ci utrzéć gotów;
Krzykniéj—psyk! — wnet spokojny, bez zuchwałych zwrótów,
Poczciwą i łagodną minkę wówczas zrobi;
W tę porę on pazurki do łowów sposobi.
Oczki bystre, słuch ostry, bardzo lekko idzie;
Gdy ciemno, trudno widziéć — on i wtenczas widzi;
A zdobycz łowić umie dowcipnie i zgrabnie,
Gdzie gospodarz ma mało, on tam dobrze grabnie;
Smaczny kęsek spożyje, a resztki i kości,
Złoży przed oczy panu w dowód staranności;
Pokazać, że gorliwie i wiernie pracuje,
Że dla zwiększenia intrat nawet w nocy czuje.
Im kot więcéj łowuszczy, wyżéj go ceniono:
Więc łowczo-kommisarzy, zda się, że trafiono.
Wy, co ich w dobrach macie, osądźcie to zdanie,
Jeśli fałsz — to wydrzyjcie; prawda — niech zostanie.

PUSTA GAWĘDA.

I.

Stare Kunosy minąłem,
Na przewozie przepłynąłem,
I jechałem brzegiem rzeki.
Wzrok mój pieścił się górami,
Gdzie, już temu cztery wieki,
Jak Litwini z Krzyżakami
Walkę wiedli, krew' się lała
Za swobodę, w dobréj sprawie....
Te góry nie zapomniały
O naszych praojców sławie.
Litwo! na twym starym grzbiecie,
Gdzie stąpię, widzę pamiątki
Twojéj sławy, choćby szczątki
Zawsze drogie dla twych dzieci.

6

Taką myślą gdy się bawię,
Znowu jestem na przeprawie;
Mijam wioski, góry, rzeki,—
Już i cel mój niedaleki,
Jestem już w Świętéj krainie....
I na rozkosznéj dolinie
Ciebie, kolego, znajduję,
Już dłoń twoję w dłoni czuję,
Ale twarda, pracowita.
Młodość nasza już przekwita....
Gdzie nasze piękne marzenia?
Wszystko od nas uleciało,
I dziś nam tylko zostało
Młodych dni naszych wspomnienie.

Otoż znów po latach wielu,
Widzę ciebie, przyjacielu;
Aleś znacznie odmieniony:
Gdzie twój dowcip, gdzie nauki,
Poezja i piękne sztuki?
Gdzie twój umysł tak wzniesiony?
Co zawsze nad obłokami
Latał—rzadko kiedy z nami.

Siadłeś i w karty zagrałeś;
Zawsze księgi wartowałeś.
Gardziłeś kruszcem wspaniale,
I pieniądz rzucałeś marnie;
A dziś, widzę, doskonale
Rączka twa rubelki garnie.
Dawniéj miałeś na stoliku
Eneidy tłómaczenia;
A dzisiaj, próbek bez liku
Żyta, owsa i jęczmienia.
Ma i księgi— lecz tam kryśli
Nie epigrammy lub ody
I nie poetyczne myśli,
Ale z gorzelni przychody.
—Prawda, inném życiem żyję;
Bo widzę w okół—znikomo,
Marność świata— i wiadomo,
Że człek poezją nie tyje.
Kto chce na sławę zarobić,
Być nieśmiertelnym na ziemi,
Powinien worki sposobić,
I mieć je zawsze pełnemi.
Ja, skoro się przekonałem,
Że tylko w worku spoczywa

Filozofija prawdziwa:
Więc i książki zaniechałem.
Ty się gorszysz, widzę, z tego.
O! tu takich znajdziesz wielu,
Co więcéj mają na celu
Miłość rubla, niż bliźniego.—

—Ot, da Bóg, w przyszłą niedzielę
Sąsiad mój wyda biesiadę,
Zbierze się sąsiadów wiele,
I ja tam z tobą pojadę.
Zobaczysz jak się bawimy,
Jak dobrze pijem, jak jémy,
Jak się serdecznie kochamy,
Jedni drugich obmawiamy....
A teraz, spocznij po drodze,
Dobranoc—już ja wychodzę:
Bo dzisiaj muszę, mój panie,
Skończyć rachunek z Żydami,—
A jutro na polowanie
Pewno i ty pójdziesz z nami.—

Darujcie, zacni słuchacze,
Że nie będziecie wiedzieli,
Jak tam pies, jak zając skaczé:

Bo jakbym zaczął polować,
Biegać, strzelać i pudłować,
Tobyście pewno posnęli.
A czy ja piszę dla tego,
Gdyby was uśpić koniecznie?
Czekajcie, jeszcze nie pora,
I wreszcie, co to pięknego,
Czytając spać— to niegrzecznie
Kompromitować autora.

I w doczekaną niedzielę,
Byliśmy w blizkim kościele;
Tego powiedziéć nie umiem,
I dla czego nie rozumiem:
Gdy już Mszą święta skończona,
I Kapłan wszystko odśpiewa,
Potém wszedłszy na ambonę,
Powie głośno: *Wardan Tiewa* (1)—
Zda się, że on wrzątkiem kropi,
Albo tych słów się przelękli,
Nie żegnali się, nie klękli,
Z ławek i za drzwi;— a chłopi
Tylko w kościele zostali,
I kornie końca słuchali.

(1) W Imię Ojca.

A szlachcice? mości panie,
Im niepotrzebne kazanie:
Oni jadą do sąsiada,
Gdzie obiecana biesiada.
I my tam z moim kolegą—
Zapomniałem godność jego
Wam powiedziéć, lub choć imię;
Prawda, ni w prozie, ni w rymie,
Nazwisk wytknąć to nie godzi,
Ale imię nie zaszkodzi.
Lecz cóż imię bez urzędu,
To nie ma żadnego względu....
Dziś nie dosyć być uczciwym,
Bogobojnym, sprawiedliwym,
Ale chcesz, obywatelu,
By cię swoi szanowali,
Aby cię wszyscy kochali?
To winieneś miéć na celu,
Byś miał tytuł i monetę;
W tém ludzkość, godność, zaletę,
Wszelki cnót zasób znajdują,
Gdy te artykuły czują.
Myślicie, że z mym kolegą
Nie było tego wszystkiego?

Że to szlachcic na zagrodzie,
Którymi dziś gardzić w modzie?
O! nie, *mości dobrodzieje!*
Ma on browar, ma dochody,
Ubiór stosuje do mody,
I ma tytuł szambelanic;
Choć z tém nie bardzo jaśnieje,
Taki tytuł teraz za nic....
Bo dziś, już nie to co wczora,
Dziś trzeba *Registratora.*

Tam, gdzie się wszyscy zebrali,
Myśmy właśnie przyjechali,
Drabiami malowanemi,
Szlejami bronzowanemi;
Samo z siebie się rozumie,
Że i konie w szlejach były;
Był i furman, co to umie,
Padi!! krzyczéć z całéj siły.
Gospodarz w progu nas wita,
»Proszę, proszę!» wciąż powtarza,
Z obowiązku gospodarza.
»Gdzież żona?» kogoś zapyta,
Wszystkich serdecznie przyjmuje.
Tu nastąpiło witanie,

Sciskanie i całowanie;
Późniéj staruszką traktuje,
Prosi, przymusza i radzi:
»Z drogi wypić nie zawadzi.»
Piją i zakąsywają,
Palą fajki, lub cygaro;
Siedzą, chodzą, rozmawiają;
Tam ktoś woła *siedem karo!*
Daléj łamią się *parole;*
A tutaj stanęli w kole
Młodzi chłopacy z dziewkami,
(Bo i Żyd był z Cymbałami).
W tém, oto drzwi otworzyli—
I widać stół zastawiony,
Karafkami ubarwiony;
Więc tam się wszyscy wtłoczyli.
Gdzie kto siądzie, targ był długi;
W końcu, gdy siadł jeden, drugi,
Za przykładem reszta rzeszy,
Każdy ciśnie się i śpieszy;
Żaden się już nie targował,
Jak można, tak się lokował.
Pili, jedli i znów pili;
»Zdrowia życzymy!» — krzyczeli;

I znów kieliszki naleli,
I jeszcze raz wypróżnili.
A późniéj od stołu wstali,
Chwilkę wzajem się kłaniali;
Gospodyni na podziękę
Dobrze oślinili rękę.
I rozeszli się powoli,
Znowu każdy do swéj roli.
Tam coś słychać hałasują,
Tu z cicha szepcą mężatki
O mężach, strojach — a matki
Patrzą, z kim córki tańcują.
Stolik gry jak w oblężeniu,—
Choć kto nie gra, to gawroni:
Ten chciałby grać—żonka broni,
Wsparta na męża ramieniu.
Ktoś na sofie się przewala,
I dymek puszcza kłębami,
A tamten czatuje z dala,
Gdzie tacę noszą z szklankami;
Przy stoliku słychać—zwada!
Bez tego jakaż biesiada?
Dziś zwada strachu nie czyni,
Bo krew' pewno nie popłynie;

Dziś szabel nie dobywają,
Tylko się wyspowiadają;
Jakby dla wspólnéj uciechy,
Pochodzenie, wady, grzechy
Jeden drugiemu wypowie—
I to znaczy honorowie
Już się z sobą rozprawili,
Jakby na ostre gonili.
Lecz tu i tego nie było,
Tutaj się prędko skończyło—
Gospodarz uśmierzył wrzawę,
Gdy rzekł: »zapijem tę sprawę! »

II.

Teraz wam powiem, panowie,
Co też na balu robiłem: —
Oto razem jadłem, piłem...
Gdy dość czułem w brzuchu, w głowie,
Wtenczas siadłem zamyślony.
Przyszedł do mnie szambelanic,
I rzeknie: — »Cóż tak znudzony?
»Ty się tu nie przydasz na nic:

»Nie tańcujesz, mało pijesz;
»Powiedz, czy tak ciągle żyjesz?
»Czy zawsze filozofujesz?
»Może *poponiterujesz?*
»Co? nie! — Widzisz tego pana,
»Ja cię najlepiéj rozbawię,
»Kiedy was obu zostawię;
»Bo to gęba wyszczekana. (1)
»Jego myśli są obrazem
»Rzetelnym wszystkich nas razem.
»Wraz go zarekomenduję.
»To *kolleski registrator,*
»*Gorzałczany wizytator,*
»Pan Jan, mój sąsiad.» — »Winszuję.»
»A to mój szkolny kolega,
»Obaśmy herbu jednego.» —
Ja się grzecznie ukłoniłem.
—»Gdzież ty byłeś, panie Janie?
Wczoraj miałem polowanie.»
—»Dwa dni w miasteczku bawiłem;
I za zielonym stolikiem
Przez dwie noce z porucznikiem

---

(1) Wyrazy używane w potocznéj Prowincjonalnéj mowie— czytelnik i wiele znajdzie podobnych.

Siedzieliśmy, z deputatem
I z panem sędzią brzuchatym.
—»Z jakim Sędzią?—»*Hajde—Jure,*
Co jak beczka ma figurę,
Przytém głowa jak stodoła,
Za to każdy »Sędzio»! woła.
Gdy tak całe noce gramy,
Dnieje, my się rozliczamy,
U każdego z nich wygrałem.
Lecz zapłaty nie widziałem;
Żołnierz, chociaż honorowy,
Nie zawsze na grosz gotowy;
A więc my w monety braku,
Piszem regiestr na uszaku,
I piszem długo z kolei,
Choć zyskać nie ma nadziei.
Pan deputat kieszeń maca,
Nareszcie całkiem wywraca:
»A czy wiesz co, zapomniałem,
»Kieski z domu nie zabrałem;
»Drugą razą się rozliczym.»
I ten przegrane zbył niczém.
A cóż myślisz, że pan sędzia,
Po przegraniu płacić będzie?

On na to znajdzie ratunek —
Przytoczy dawny rachunek,
Kilka razy opłacany,
A wreszcie, już przekonany,
Powie: »to winien zostanę« —
Oto i całe wygrane.

— Nie płacą, a zawsze gracie,
I zawsze siebie szukacie!
— Cóż na wsi robić w jesieni,
Kiedy się nic nie zieleni?
Deszcz kropi, wiatr zimny wieje,
Cała natura drętwieje;
We dnie zająca wytropisz,
To *chłopa* kijem okropisz,
Albo dziewczynkę pogładzisz,
Późniéj się z żonką powadzisz,
I tak, dzień za dniem ucieka;
Lecz w wieczór nuda cię czeka.
Przykra to pora jesienna,
Ta sama czynność codzienna:
To ciągłe cepów pukanie,
Albo tych cierlic szczekanie,
Czy zabawić może wiele?
Fałszywe córki brząkanie

Na rozpękłym fortepjanie,
Guwernantki ceregiele,
Tak cię ogłuszą, utrudzą,
Jak żony umizg — tak znudzą.
Więc człek bieżysz do sąsiada,
Który za *preferans* siada,
Z saméj téj *pańskiéj* próżnoty
Do gry nabierasz ochoty. —
Gdy tak Pan Jan perorował,
Szambelanic zrejterował,
Ja do rozmowy się wdałem,
I temi słowy przerwałem:
— Czemu gazet nie czytacie,
Pism publicznych nie trzymacie? —
— A ci, co książki czytają,
To cóż oni z tego mają?
Może głowy rozumniejsze—
Ale worki czy pełniejsze?
— Za to kształcą się moralnie.
— Ale koszt stracony marnie.
Czytać książki jest to modnie;
Więc i ja raz, z modą zgodnie,
Kilka książeczek dostałem.
Ładne okładki wybrałem,

Czytam, czytam, *nie ma rzeczy:*
Ten dowodzi, drugi przeczy,
Trudno z nimi dojść tam sprawy,
Same dysputy, rozprawy
Ten liczy gwiazdy, planety,
I mierzy ogon komety,
Tamten wychwala lud szary
Koło *Ładowniéj Pieczary,*
Albo jakieś *Bondarczuki,*
I tam daléj, i tam daléj...
Radzą dla *chłopów nauki,*
Stawiać szkółki i szpitale...
A czy oni sfiksowali,
Pisać takie banialuki!
— To autor wielki i wzięty.
— Chociażby on był i święty,
Jakże chce *chłopa* prostego
Abym kochał jak bliźniego?
— Jego rady są zbawienne,
Mądre, święte i sumienne;
Więc spełniajmy je z ochotą.
— Gdyby to rzecz nie szła o to,
Abyśmy się porównali
Z chłopem, i wolność mu dali,

My, co ich niewiele mamy,
Wszystko z nimi wyrabiamy:
Tamten orze, młóci, miele,
Ta przy pralni, lub kądzieli;
Od niedzieli do niedzieli
Możem pędzić, byśmy chcieli.
— A Inwentarz? — Bagatele!
Pędź chociażby i w niedzielę;
Nikt ci kwestyi nie zada:
Rubel milczy, rubel gada;
Bywa nawet... — A sumienie? —
— Wszak to Chama pokolenie,
Co śmiał brata zamordować;
Bóg za to kazał pracować,
I oddał ich naszéj woli:
Więc bez chłopa, jak bez soli,
Cóżbyśmy wówczas robili?
— O! ci, którzy zbyt gnębili,
Będą sami jak paluszki.
— Całuję waćpana nóżki,
Za to zdanie — miał co chwalić;
Jam te książki gotów spalić:
Rób' tak, jak uczy czytanie,
Zobaczę, co ci zostanie;

Dobrze mówią — *mało wieje,*
Który tylko z książki sieje.
— Nie prawda, agronomiczne
Są dziś dzieła wyśmienite.
— Widziałem ja rozmaite,
Mój sąsiad ma paki liczne;
A niektóre i ja czytam:
Cóż tam jest mądrego, pytam?
Ten krzyczy: — kasuj browary!
A kupcuj jak zakon stary;
Ów zaleca płodozmiany,
Zrobić folwark parobczany;
Byłoby godne zabawy,
Żebym na niwie siał trawy.
My nie słuchamy téj rady,
Robim tak, jak nasze dziady.
A tamten prawi morały,
Że tam ktoś majątek cały
Dał dla dobrą ogólnego,
I nas zachęca do tego;
Żebyśmy cząstkę intraty
Nieśli dla własnéj oświaty,
Dla talentów podniesienia,
Dla otarcia łez strumienia.

Lecz on u nas mało zyszcze,
Bo rubel nasze bożyszcze:
Niech djabeł bierze każdego,
Byle minął mnie jednego.

III.

O, wy, co piosnki śpiewacie,
Co dzieje opowiadacie,
Przez których światłość nam płynie!
Gdy na litewskiéj krainie
Wonne zioła zasiewacie,
Czyż tego nie uważacie,
Że na tutejsze zagony
Trzeba jeszcze ostréj brony?
Choć grunt żyzny, dzięki Bogu,
Lecz długo leżąc w odłogu,
Dziś uprawy potrzebuje,
Bo się w nim oset znajduje:
Więc trzebą go wykorzenić,
Trzeba z niwy pérz wyplenić;
A późniéj zioła i kwiaty
Przyniosą wam plon bogaty.

Ty, co po Wieszczu, lirę śpiewną wziąłeś
Jako litewski bard nowy,
O! wielu, wielu pieniem twém ująłeś,
Boś śpiewak sercem i słowy.
Nizkie strzechy nasze zdobisz,
Duszę do piosnki zachęcasz,
Serce do cnoty sposobisz,
I grajków do nas przynęcasz; 1)
Ogólny hołd za twe pienia
Złożą przyszłe pokolenia!
Bo dziś nie każdy czcić umie,
Twój wielki cel któż zrozumie?!
Choć twe piosnki powtarzają,
Ale echa nie oddają.
Echo, co metal wydaje,
Miło nam do serc przystaje,
I przyjemnie pieści uszy,
Słodko się leje do duszy.
Ten głos przyjaciółmi darzy,
Ten głos małżeństwa kojarzy,

---

1) Wdzięczność winniśmy autorowi, który wmawia że:
„W głębi serc pod naszą strzechą,
„Znajdziesz grajku, znajdziesz echo,
„Dla piosenki twéj.“

Echo to głuszy sumienie,
Fałszywe dając znaczenie.
Gdzie dźwięk metalu usłyszą,
Tam rozum, cnotę przypiszą;
A za nic rozum i cnota,
Skoro nie ma dźwięku złota.

— A więc co książka pomoże? —
(Pan Jan do mnie się odzywa)
Rublów w worek nie nałoży;
I to rzecz nawet prawdziwa,
Że książka nam nie da chleba,
A jéj rady nam nie trzeba.
O! dziełko *Głodno-brzuskiego*...
Oto paś, Boże, takiego
Poetę — to mi zabawa,
To jest książeczka ciekawa! 1)
Ja to lepiéj czytać życzę,
Niż *Michała Brodowicza.*
Innéj książki taka władza,
Że mi sen słodki sprowadza.
— Dobrze, że jész i śpisz w domu,
Lecz gdy przyjdzie na myśl komu

1) Kocieł garnkowi wszak przyganę daje,
A dym dla obu ozdobą się staje.

Na chrzcinach, albo weselu
Zgromadzić was razem wielu:
Wszak wszyscy w karty nie gracie,
To o czémże rozmawiacie?
Gdy was nie interesuje,
Jak literatura nasza
Postęp oświaty ogłasza.
— Nas to wcale nie zajmuje;
Kiedy chcesz, naszéj rozmowy
Wraz będziesz miał rys gotowy:
Patrzaj na te dwie persony,
Co to się z sobą spotkały,
I wzajem ręce podały,
Znak przyjaźni wynurzony;
A czasem się uściskają,
O żonek zdrowie pytają,
Lecz to gdy równe fortunki,
Równe rangi i stosunki —
Bo bez tego przyjaźń znika.
Siedliśmy koło stolika,
I słuchaliśmy tych osób
A rozmowa szła w ten sposób:

»A jakie masz urodzaje?
(To jest pytanie z nałogu),

Ile szefli kopa daje?
— »Niezły umłót, dzięki Bogu,
— Oficjanci czy nie kradną?
— O! ją ich dobrze pilnuję.
— Ochmistrzynię czy masz ładną?
— Wiesz, że szpetnéj nie najmuję.
— Tyś zawsze gustu dobrego,
Lecz jak to żona przyjmuje?
— Wszak i waćpan nie od tego;
I twoja to pewno czuje,
Czemu z Pawłem dobrze żyjesz,
Męża durzysz, żonie sprzyjasz,
On swą żonkę za waćpana
Miał oskarżyć do plebana.
— Oj, niechaj ten biedak milczy!
Jego żonka ma ząb wilczy:
Odetnie się jak należy,
Gdy jéj kto drogę zabieży.
— Twój Żyd w karczmie czy opłatny?
— Niebardzo coś akuratny.
— Jaki masz wychód z browaru
Tego zacnego nektaru?
— Winnik coś nie dopisuje.
— Z pod akcyzy przemycanie,

To zawsze winnika psuje.
— Teraz odkupszczyk pilnuje;
Lecz, kto wié, co się z nim stanie,
Bo mówią, że bankrutuje.
— A karczma twego sąsiada?
— Ona to mi tak! dojada.
— A jakże idą procesa?
— Milcz liepiéj o tém — *do biesa,*
Ja tobie opowiem potém —
W dalszym ciągu znajdziesz o tém.

— Czy nie wiész jak drogie zboże?
— Dobra cena!... co daj Boże;
Za ozadki, dyrsę marną,
Biorę jak za dobre ziarno.
— Ale biedni pewnie płaczą!
— I co nam ci biedni znaczą?
Wszak wiész, jak przysłowie niesie:
Drzéjmy łyko, póki drze się. —
— Kto to taki siedzi z Janem?
— Nie wiém, — nieznasz się z tym panem?
Kto go przywiózł? — Szambelanic.
— Musi być głupiec bez granic;
Rezonuje o wolności,
I o bliźniego miłości,

— Rozumie się, *dusz* nie mają,
To takie rzeczy gadają;
Gdyby oni *chłopów* mieli,
Toby wolności nie chcieli.
Jak księża z pisma czytają:
Co tobie niemiło — tego
Nie życzże i dla bliźniego.
— Czy to te *golce* pojmują?
. . . .
Długo się jeszcze radzili;
Różne projekta tworzyli;
Ale ja uszy zatknąłem,
A tylko w duszy westchnąłem...

IV.

— Co, znudziłeś pan dobrodziéj?
Jan znowu zaczął w te słowa:
Teraz mówią o pogodzie,
A to materja jałowa;
Potém zaczną o sąsiadach,
Sądzić będą o ich wadach;
Choć my wszyscy ludzie grzeszni,
Trochę ułomni i śmieszni,

Nas obmówią, my na wzajem,
Bo to jest naszym zwyczajem,
Że my wet za wet oddajem.

— Kto to tacy ci panowie?
— Oba, mospanie, sędziowie.
Ten rumiany w piérwszym rzędzie,
On jako piérwszy w urzędzie,
Piérwszy, gdzie tylko obiady,
Czy gdzie zgody, czy gdzie zwady,
Czy kompromis sproszą strony,
Proszony, czy nieproszony,
Tam zawsze sędzia być musi,
Bo do tego nałog kusi.

— A ten drugi? — Sędzia także,
Zda się trzpiotem, — a jednakże,
Na fartuszku staréj żony
Zawsze sługa uniżony,
Jest małżonkiem lat niemało.
Jemu się dobrze udało:
Sprzedał siebie prawda, ale
Sprzedał siebie doskonale.
Ma dzisiaj wszelkie wygody,
Ma pieniądze na rozchody,

I żona go wabi: — »duszko!«
Biedna ty, biedna, staruszko!
Nie czujesz, jak cię okpiwa,
Choć również duszką nazywa.
Prawda, za jego wyskoki
I ona dobrze piłuje,
Jakby toczydłem szlifuje
Języczkiem na wszystkie boki.

Choć nie żaluje toczydła,
Z lemiesza nie zrobi szydła;
Wronie nie pomoże mydło,
Jak umarłemu kadzidło.
Próżno nieboga pracuje;
Stary płaszcz choć przenicuje,
Zostaną plamy i łaty:
Bo pan sędzia nigdy chaty
Nie pilnuje, ale gładko
Wymknie się z domu jak z procy;
Wtenczas z szklanką i sąsiadką
Hula całe dni i noce.

— A ten stary? — I to sędzia.
— Jak głów kapusty na grzędzię,

Tak wam sędziów zarodziło!
— Nie wiém, czy tak zawsze było,
Bo dziś, choćby głowa pusta,
A brzuch duży, buzia tłusta,
Zaraz mu urząd nadają.
Najpierwiéj żydki wołają:
»Panie sędzio! panie sędzio!«
O tém krótka powieść będzie.

Gdy w te strony przywędrował,
Golił i ekonomował,
A późniéj posesorował;
I krew' puszczał — lecz kańczugiem.
Brał dzierżawy i posagi,
Żony marły — boże plagi
Znosił, i nie desperował;
Długo zwano go Pińczukiem:
Dziś już ukształcił wymowę,
Ma brzuch, ma kieszeń i głowę...
Cieszcie się, dziatki kochane,
W kieszeniach piękne nadzieje,
Bo one jak brzuch wypchane —
W głowie — wiatr próżności wieje;
Przytém poluje bez sromu,
Ale nie szkodzi nikomu.

Wraz jego żonę spotkamy.
— Lecz proszę szanować damy.
— Owszem, ta pochwały warta:
Kobiéta wcale nadobna,
Z rzędu żon sędzina czwarta,
Nieco do męża podobna,
Lecz więcéj prawdy posiada,
Cudze cnoty chwali rada . . .
— To znaczy, że ten ma swoje,
Kto tobie odda co twoje.
— Wielbi dom pański, gdzie była,
Gdzie wiek młody przepędziła;
Mile szanowna sędzina
Ten dwór i dworskich wspomina.
— A to zwyczaj naszych dziadów;
Dzisiaj nie ma takich składów,
Gdzie się te cnoty sprzedają,
Bo się z mlékiem wysysają,
Więc bogate ma ozdoby.
I sędzinie dość byłoby,
Gdyby nie te pasierzbięta,
Co to skrzeczą jak wronięta.
I na najlepszą macochę
Zawsze pokrzyczą choć trochę

To piosenka naturalna.
Sędzina, choć dość moralna,
Musiała mićć jakieś grzechy:
Co cudze dziatki pieściła,
Lepiéjby swoje spowiła,
Ale téj nie ma pociechy.
— Przestań, panie, nie szarp' sławy,
To niepięknie — jam ciekawy,
Kto ten pan, co ma głuchotę?
— O! ten istotnie ma cnotę,
To prawdomówca, poczciwy,
Otwarty i sprawiedliwy,
Nie okpi cię i nie zdradzi,
O twą własność nie zawadzi;
Tylko, mówiąc między nami,
Ma trochę język z kolcami.
— Dzisiaj, gdy kto prawdę powie,
Wraz go świat złośliwym zowie;
Rozróżniać zło od dobrego
Jest dziełem człeka prawego;
Wymiatać brudy na świecie,
To jaśniéj cnota zaświeci.

Choć ten, komu blask poranny
I wschod słońca jest nieznany,

Co jakby ptak szaro-piory,
Przeciwko prawu natury,
W dzień śpi, w nocy jé i pije,
Słabszych drze, i w cieniu żyje;
Takich ptaszków dużo mamy.
Drugi, swą wielkością mami,
To z okrągłemi główkami;
Ten gatunek ztąd poznamy,
Nie lubią otwartéj mowy.

Bo czyż szlachcic zagrodowy,
Choć on i rozum posiada,
Gdy chat kopy nie rachuje,
Jaśnie się nie tytułuje,
Ani duszami nie włada —
Mógłby być tyle zuchwały,
Mówić o nich bez pochwały?
Powiedz prawdę temu, który
Zadarł czub i nos do góry;
Wraz ci *zakon* zacytuje:
Niechaj czyn czyna szanuje.
Krzykną: »Patrzaj lepiéj siebie!
»Co to należy do ciebie?

»Nasze sprawy i nałogi
»Jak *śmie* sądzić człek ubogi!«
Ot, i ja właśnie to słyszę;
Choć to dla zabawy piszę,
Lecz mimo krzyk, złość, gawędę,
Piśmidlarzyć daléj będę.

— Widzisz, ten panicz brodaty
Był kiedyś chłopiec bogaty —
Ojciec fortunę zostawił,
Lecz synalek zmarnotrawił.
Całkiem zniszczona wioseczka,
Rozpędził wszystkie charłaki,
W oborach jedna kozeczka,
Z lasów pozostały krzaki.
Na polach oset dojrzewa,
A Panicz kwiaty zasiewa:
Miasto jęczmienia i żyta,
Róża z liliją rozkwita;
Już i pączki rozpuściły,
Ale zapach ich niemiły!
Bo ogródek założony,
W dzikiéj ziemi, nieświęcony,
Bez krewnych, stuły, plebana,
Gospodarka fundowana;

I za to się nie powodzi,
Żyto i jęczmień nie rodzi.
Tylko róża ładnéj twarzy,
Co rok go pączkiem obdarzy;
Ale i kwiatki i pączki,
Pójdą wziąwszy się za rączki,
Bo zaraz chleba nie stanie.

— Mniejsza o nich — powiedz, Janie,
Jacy to ci dwaj młodziki,
Których tak wybladła cera?
— Powiatowe baletniki —
W społeczeństwie są to zera;
Ale gdzie tylko zagrają,
Oni tam zawsze tańcują,
Liczbę gości dopełniają,
A dom mają, czy nie mają,
Oni w nim rzadko nocują.
W dzisiejszéj młodzieży tłumie
Często napotkasz panicza,
Który nic więcéj nie umie,
Jak tańczyć i klaskać z bicza.

V.

— Już mi mężczyzn opisałeś,
Wszystkich rekomendowałeś
Niepochlebnie i niegrzecznie.
— Chcesz bym kłamał? — Niekoniecznie
Kłamać, kłamstwo wraz poznają;
Ale tylko dobrą stronę,
Odkryć, a na złą zasłonę
Zarzucić — bo powiadają:
Zły ptak, co swe gniazdo kala.
— Ten gorszy, co nie pozwala
Oczyszczać, a sam nie umie;
W brudném siedzi, i rozumie,
Że tak dobrze; nie dba wcale,
Że i on i dzieci w kale.
— Oto sprzeczać się nie będę,
Bo to jest pusta gawęda,
I nic więcéj. — A kto błądzi,
Niechaj czytelnik osądzi.
— Chcesz, piękności ci przedstawię —
Są tu panny i kobiety.
— Chciałbym, ale cóż niestety,
Ja o nich jestem w obawie:

Ty lubisz wszystkich szkalować;
Płeć piękną, trzeba szanować:
Czém jest kobieta, wiész o tém?
— Wiém, jest to naszym kłopotem.
— Z jakiéj na nie patrzysz strony?...
— Z lewéj. Tamte dwie matrony,
To sędziny jednéj klassy,
Z jednéj szkoły, jednéj rasy,
Obie ród z *Pińska* wywodzą,
Jedną drogą tu przychodzą,
Tym samym konceptem obie
Przywabiły mężów sobie.

A widziałeś, ich mężowie
Odpowiedni co się zowie;
Jeden szczupły, — ale drugi
Dosyć spory, dosyć długi,
Jedném słowem, te małżeństwa
Mają wielkie podobieństwa:
Dość dobrze dobrane pary,
Jednéj wagi, jednéj miary,]
Te same Duch Święty dary
Zlał im z opatrzności czary.

Pójdziem dalej, o czém damy
Rozmawiają, posłuchamy.

— U nich rozmowy pewno niewinne —
Bo nasze córki, matki i żony
Chować w swém sercu jeszcze powinny]
Cnót religijnych rys nieskażony.

Ich serca jeszcze nie odrętwiały,
Czują płacz sierot i jęk bliźniego;
Z granic czułości nie uleciały
Za lada brzękiem kruszcu marnego.

Tu, w tém zebraniu pewno się radzą,
Jak synów kształcić w obywateli,
Gdzie na naukę dzieci oddadzą,
Zkąd dostać dobrych nauczycieli.

Jak im talentów dać użytecznych,
Jak wpoić cnoty, by kraj kochali,
Umieli strzedz się czynów wszetecznych,
Aby człowieka bliźnim uznali.

Jak z córek widzieć poczciwe żony,
Których mąż kocha i świat szanuje, —
Takich dążności cel nieskończony,
Bo w tém płeć piękna swą godność czuje.

— Tak pięknie byłoby — ale na nieszczęście!
Niech licho przyniesie, choćby potępieńca,
Gdy tylko bogate zdarzy się zamęście,
Matula swą córkę da za odszczepieńca.

Bo matki i córki zajęte rachubą,
Chętnie się sprzedają z przyszłém pokoleniem,
Honor familijny u nich nie jest chlubą,
A wiara prababek dziś tylko wspomnieniem.

Sakrament małżeństwa tylko dla prawności,
By w śmierci godzinę najmilszéj istoty,
Część siódmą zagarnąć bez żadnéj trudności,
I metryką ślubną posprzątać kłopoty.

Chcesz w takich małżeństwach miłości i zgody?
Chcesz aby swe dzieci cnotą obdarzyły?
Tu znajdziesz intrygi, kłótnie i rozwody —
Z małżeństwa targ, sprzedaż, i handel zrobiły.

Posłuchaj, ta pani jak mówi dorzecznie, —
Że lepszy na męża, kto żwawszy, dzielniejszy;
A serca i głowy szukać niekoniecznie —
Gdy starzec bogaty, jeszcze dogodniejszy.

Uważaj, jak tamta sąsiadce powiada,
Że jéj w guście minka pana porucznika;
Ta młoda mężatka tylko o tém gada,
Że zgrabna figurka stołonaczelnika;

Że spodnie opięte, frak zgrabnie zrobiony,
W tém całą zaletę w mężczyznie znajduje.
Jéj mąż zawsze szukał posagu nie żony,
A dziś pod pantoflem za to figuruje.

Patrz oto na wdówkę, co siedzi przed nami...
— Poprzestańmy już lepiéj z temi romansami!
Ja wiém, że to materjał nigdy nieskończony;
Choć wężowi za Ewę dawno łeb zgnieciony,
Ale szatan *żywuszczy* — wciąż ogonem rucha;
Cnotliwa i szczęśliwa, która i ogona
Wężowego unika, nie patrzy, nie słucha,
Czcigodna taka panna i szanowna żona.
— Prawda, ale sam osądź, wszak to Ewy dzieci,
A *jabłko od jabłoni niedaleko leci.*

— O wy szlachetne panie! nie o was tu mowa,
Na późniéj wam me pióro hołd powinny chowa.
Choć jest komu beze mnie czołem bić przed wami,
Ubóstwiać wasze cnoty, wdzięk zdobić kwiatami,
Potok dobranych słówek lać w serce i w uszy,
Myśl piękną, wzniosłą, świętą przesyłać do duszy,
Arcydziełmi zachwycać czytelnika swego . . .
Słyszę pan szambelanic szepcze mi do ucha
»Więc ty milcz, — bo na Litwie dziś mamy takiego,
»Co na anielskie chóry mógłby piosnkę stworzyć:
»Takiéj pieśni, już każdy z uwielbieniem słucha.«
— To czemuż mnie nie wolno ani ust otworzyć?
Wszak gdy *poeta ptasi* dźwięczny głos rozlewa,
I wróbel swą piosenkę, jak umie, tak śpiewa:
Wszyscyśmy przyrodzeniu hołd winny dawajmy,
Jak kto może i umie, piszmy i śpiewajmy.
— Lecz kto was czytać będzie, jeśli sensu mało,
Kiedy zasobów braknie, zdolności nie stało?
W pismakach bez talentu trudno znaleźć rzeczy,
Czas traci, papier psuje, i mowę kaleczy.
— Mądry czytelnik może mały brak przebaczy,
A głupi wad prawdziwych pewno nie zobaczy;
Gdzie ich nie ma, tam znajdzie, osądzi, da rady,
Da swe zdanie, jak gdyby *wonność* do pomady,

Nie przeczytawszy zgani — powie — »głupstwo prawi!«
Drugi może cos dojrzy; inny się zabawi.
Ja zaś, pisząc, nie gonię za sławą poety:
Światły krytyk daruje wady wierszoklety —
Chociaż ich tu jest wiele, bo i rzecz jałowa,
I rymy zamykają monotonne *słowa.*
Bez przykrasy, harmonji składnie budowane,
Prosto jak z pod siekiery kołki ociosane.
— Znasz słabość twojéj muzy — więc rzuć wierszoklectwa.
— Znam autora, co pisał i wierszokalectwa;
A byli tacy, co mu dawali oklaski: —
Może się komu zdadzą i moje obrazki.
Prawda, u Flory kwiatków tu nie pożyczałem,
Bez ozdób, ale jasno wszystko wykładałem...
— W wydaniu téj książeczki jakie miałeś cele?
— Wielkiego celu szukać, to próżna mozoła;
Ja to wszystko pisałem dla swojego koła, —
Niech czytają znajomi, krewni, przyjaciele.
— A jeśli tu podobnych do siebie spotkają?
— To znaczy, że swój swego i tutaj poznają.
— Poznają! lecz twa książka nie będzie czytaną,
I kto wié czego jeszcze może się spodziewać.

— Choć oni wszystkie karty niech powydzierają,
I spalą — wszak na ogień już ofiarowana;
A ja bynajmniéj za to nie będę się gniewać.
— Posłuchaj mojéj rady — zaczynam poziewać;
Pójdziem spać czytelniku, — téj pustéj gawędzie
Dajmy pokoj, bo dzisiaj końca jéj nie będzie.
Gdy to przyjmiesz łaskawie, to koniec napiszę;
Jeśli za to wyłajesz, i ja to usłyszę,
To bądźcie zdrowi, już mnie więcéj nie spotkacie,
Ani pustéj gawędy końca doczekacie.

DOKTOR NA PROWINCJI.

I.

Wielkie, święte, kapłańskie twoje powołanie,
Doktorze! mianowicie, jeśli w twoim stanie
Jest nauka, sumienie, przy tém serce czułe,
Więcéj o życie ludzkie dbasz, niż o szkatułę;
Więc jesteś dobroczynnym aniołem na ziemi,
Osłodą cierpień naszych. Balsamy twojemi
Ożywiasz dzieciom ojca; na matczynne łono,
Twojém staraniem ileż dziatek powrócono!
Ty nam bole uśmierzasz i łzy nasze koisz;
A przed śmiertelną kosą tak jak kamień stoisz.
Smierć przed wami ucieka; gdy kogo i dusi,
To nie bierze jak swego, ale skradać musi.
Przy nauce i pracy, cuda wyrabiacie,
Bóg ludziom życie daje, a wy przedłużacie.

Wielbim was! i przed wami uderzamy czołem.
Nie o was ja—broń Boże—pisać to zacząłem;
Ale oto doktora mamy w takim wzorze,
Jak on żyje, i leczy—sam wyzna w pokorze.

—»Ani sieję, ani orzę,
A tylko często *doktorzę*,
I mam chleba w mėj komorze,
A nawet różne przysmaki,—
Ale to nie w każdėj porze;
Chyba kiedy panek jaki
Zawoła na mnie: »Doktorze!
Podoktorz mnie, bo mi porze
W kiszkach, jakby scyzorykiem;
I nim jeszcze wejdzie zorze,
Mogę zostać nieboszczykiem.»

Wtenczas ja w dobrym humorze,
Chętnie służę dla każdego,
Co tchu biegnę do chorego:
Daj puls! pokaż mi języka!
Gorączka! dam recept zaraz.
Aż dreszcz chorego przenika,
Widząc doktora ambaras.

Podrapię sobie czuprynę,
Pomacam choremu boki,
I odskoczę na dwa kroki;
W końcu taką zrobię minę,
Jakbym połknął djabłów parę.

Chociaż to są sztuki stare!
Każdy zna, co to *doktory*,
Chyba nigdy nie był chory.
Lecz dziś rzadki człowiek zdrowy,
Każdy prawie defektowy,
W każdym wieku, w każdym stanie,
Często kataru dostanie....
Czy mężczyźnie, czy niewieście,
Czy to na wsi, czy to w mieście
Można mićć różne katary,
Wszak doktorów jest bez miary.
Panek dostał niestrawności;
Lecz dzięki mojéj zdolności,
Teraz potrzebne recepta:
Tak go spłoszyłem w téj chwili.
Są to doktorów koncepta—
A z czegożby oni żyli?....

Chory, widząc moje ruchy,
Sądzi, że już cios śmiertelny:
Gardzi światem, pełen skruchy,
Chwyta za swój worek pełny:
»Przyjm, doktorze! wróć mi zdrowie!«
Z miną niby niewesołą,
Ręką chętnie ruble łowię,
I wnet wypogadzam czoło:
Będziesz zdrów, łaskawy panie!
Bierz to, co tu zapisano;
A kiedy ból nie ustanie,
Przyszléj po mnie jutro rano.
I nie czyniąc ceremonji,
Biorę czapkę—dawaj koni!
Z wizyty mam spory worek.
Tak postępując doktorek
Jak ja, to będzie miał chleba,
Tylko chorych durzyć trzeba.

Co innego, kiedy człowiek smiertelnie choruje,—
Wtenczas doktor i bez rubla szczerze go ratuje.
Cóż nam z tego kiedy umrze? ksiądz *łapki żakoli*
Słudzy i sukcesorowie; a dla nas niech woléj

Z lekka, po trochę choruje, chociażby wiek cały,
Doktorom i aptekarzom—to mi to specjały!
Mianowicie, kiedy pacjent— jak mówią— niechudy,
Ma czém płacić za aptekę i za nasze trudy.
Mając kilku takich chorych, doktor się wzbogaca,
Bo i za recept apteka procent nam wypłaca.
Szkoda nam, że od plebana brać nie ma téj mody,
Za pogrzeb jak za pszenicę pobiera dochody;
Powinni być w motji z nami—gdy oni chowają,
To lekarze nieboszczyków dla nich dostarczają.

II.

A kiedy nikt nie choruje,
Wtenczas swatam, faktoruję;
Zawsze wiertki, rzeski zwinny,
Przytomny, usłużny, czynny.

To zęby wyrywam, choć szczękę nadpsuję,
Z tym panem gram w karty, tam końmi handluję,
Tu radzę naliwkę pić od niestrawności, —
Są żony, co leczę przeciw niepłodności,
To męża kuruję sekretnie od żony,
Gdy z miasta do domu powróci strudzony:

Nowinki roznoszę, albo plotki zwodzę,
To znowu sąsiadów powaśnionych godzę;
To słodkie bilety oddaję córeczkom,
To *Rendez-vous* zręcznie ułatwiam żoneczkom.

Często z mojéj gorliwości,
Jegomość swojéj imości,
Albo córeczce nakiwa,—
Chociaż za moje staranie
Często i mnie się dostanie
Podobna prezerwatywa.

Lecz człowiek tém się nie zraża,
Choć się na szwanki naraża,
Skoro się spodziewa datku:
Czyż to z nas jeden na świecie
Dobrze dostanie po grzbiecie,
Nim coś zyszcze na ostatku?

Nie ja jeden doktor,— przecie
W różnych stanach moi bracia,
Podobnych pełno na świecie,
W urzędach i przy warsztacie.

Każdy stara się, jak może,
Bo każdemu żyć potrzeba:
Szyje, sądzi, pisze, orze,
Byleby miał kawał chleba.—

Jest taki, co nic nie umie;—
Uda mędrka, radzi, leczy,
I nim go człowiek zrozumie,
On okpi, albo skaleczy.

Gdy was kto podobny łudzi,
Albo kiedy wam co radzi,
Życzę, strzeżcie się tych ludzi;
Często mimo woli zdradzi.

A to w tém cała przyczyna:—
Że tak z medycyną zna się,
Jak bez słońca na kompasie
Dojrzałbyś która godzina.

KOLOR BIAŁY.

Kolor czarny w smutku cały,
Biały śpiewaj nam.
—Ale ja śpiewak za mały,
By opiewać kolor biały,
Mało siły mam.

Jednak na rozkazy czynny,
Zaśpiewam siak tak:
Kolor biały, to dziecinny,
To anielski, to niewinny,
To czystości znak.

Wraz cię świętym zdrojem zleją,
Skoro zaczniesz żyć;
Białą szatą przyodzieją,
Miłą cieszą się nadzieją,
Białą snują nić.

Zaledwo ten świat poznamy
Od młodzieńczych lat,
Wraz na chrzestnéj szacie plamy,
Białą suknię wraz zwalamy,
Zbruka ją ten świat.

Późniéj, gdy twa narzeczona
Poda tobie dłoń,
W białą suknię ustrojona,
Przed ołtarzem postawiona,
Wieńcem zdobi skroń.

Ty w niéj wszystko widzisz biało:
Biała rączka jéj,
Białe ząbki, białe ciało, —
Piękna dusza, ci się zdało,
Czyste serce w niéj.

Niedawno było wesele,
Jeszcześ krótko żył,
A już wad dojrzałeś wiele,
W wianku, w rączkach, w ząbkach, w ciele, —
To był biały pył.

A więc dla nas kolor biały
Bóg daje z swych łask;
Ale to kolor nietrwały!
Często u nas kolor biały
Utraca swój blask.

Gdy ci swawole i szały
Struły młody wiek,
Włosy twoje posiwiały,
Wcześnie pokrył kolor biały,
Już ty stary człek.

Lecz jeśli uczciwie żyłeś,
Gdy wiek białość da,
Gdy się niczém nie splamiłeś,
Od kolebki czystym byłeś—
Swięta białość ta.

Wtenczas stroj się suknią białą,
I przeżegnaj nas:
Bóg ciebie okryje chwałą,
A świat da czamarę białą,
Już ostatni raz!

KONIEC.

OMYŁKI DRUKU.

Stron.	wiersz.	zam.	czyt.
14	5	świąteczni	świąteczne
16	20	grunt ów	gruntow
27	13	nie stajesz jak	nie stajesz — jak
57	17	Piot	Piotr
58	2	wypié wypić	wypić wybić
56	19	nazwa	nazwać
57	9	o nas	o was
—	19	rozdzialik	rozdziałek